

Podróż po Mandżurji

Wśród rumowisk i gruzów wsi i miast

(Korespondencja własna ABC)

Cziang-Cziun. w lipcu Walki na większą skalę i krwa- we starcia między wojskiem ja- pońskim a Chińczykami rozgry- wały się li tylko na niektórych od- cinkach. Nie było zatem walk na jednej stałej linii obronnej — nie było frontu, ciągnącego się po- przez cały kraj. Bitwy stacza- niemi, że przypadkowo, raz tu, raz tam, w odstępach nieregular- nych, to też mijając poszczególne miejscowości, objęte strefą wo- jenną widzi się ciągle kon- trasty między miasteczkami i wioskami, zrównanymi z zie- mią, a osadami, których zawie- rucha wojenna w ogóle nie tknęła. Miejscowości Ta-zung, odznacza- jąca się tem, że ludność jej wzro- sła w ciągu niespełna 10 lat z lic- by 4.000 do blisko 60.000 — prze- stała w ogóle istnieć. Artylerja ja- pońska, popierana przez japoń- ską eskadrę lotniczą, zasypywała Ta-zung kilka dni z rzędu gra- dem pocisków i bomb, to też nie pozostał tu prawie kamień na ka- mieniu. Między zwałiskami i ru- mowiskami widzę kilku zgłodnia- łych kupców chińskich, odgrzebu- jących z pod zawałonych gruzów to, co przedstawia jakakolwiek wartość.

Pijcie krew japońską!

Podczas mej podróży na front, miałem sposobność zapoznania się ze zrecażnością wojsk chiń- skich w wyszukiwaniu terenu, na dającego się do oparcia oraz w prowizorycznym konstruowaniu fortyfikacji polowych. Im bliżej frontu, tem lepiej przygotowane linie obronne, tem doskonalsze pozycje. Mimo, że były one przez Chińczyków już opuszczone, — nietrudno było wyczuć, że zamie- rzali onj walczyć z Japończykami o każdą piędź ziemi.

Nieco dalej za zrujnowaną miej- scowością, zauważyłem niezrozu- miałą dla mnie ucieczkę ludności. Okazało się, że wśród Chińczy- ków rozniósł się fałszywa wieść o nadciągających od Pekinu od- działach patriotycznej młodzieży, idącej w kierunku pozycji opu- szczonych przez wojska chińskie.

Japończycy, nie widząc zagra- żającego im niebezpieczeństwa — pchnęli na zwiady kilka przed- nich straży i zaczęli zajmować popownie linję, z której byli wy- cofali się. „Sicher ist sicher“ — jak powiada Niemiec.

Nasz samochód sanitarny, ma- jący dotrzeć aż do czołowych po- zycji, miał okolice smutne, ponu- re, obdarte z tego uroku, jaki wy- woluja uprawione pola, przygo- towujące się do wydania drugiego w tym roku plonu. Nic tu nieu- prawione, nie nieobsiane, wszys- tko leży odłogiem — cóż dziwne- go, że ludność cierpi wskutek sze- rzącej się w zastraszającej spo- sób klęski głodowej, cóż dziwne- go, że nienawiść szerokich mas chińskich do okupantów japoń- skich wzrasta z dnia na dzień.

Naród daje wyraz nienawiści tej- wszędzie, gdzie może. Niemal w każdej wiosce spotykałem, — nie- wiem przez jaką organizację chiń- ską porozlepiane plakaty, przed- stawiające żołnierzy chińskich z nadzianymi na dzidy, krwią ocie- kającymi głowami żołnierzy ja- pońskich. Widziałem też afisze, na których wypisano olbrzymiemi głoskami takie wezwania: Jezu- liście głodni — spożywajcie mie- so Japończyków! — Jesteście spragnieni? — Pijcie krew japoń- ską!...

Z aprowizacją coraz gorzej. Wojska japońskie wycofały się przeważnie po odniesionych zwy- cięstwach na inne pozycje. Pozo- stały tylko słabe oddziały, odży- wiające się konserwami, suchara- mi i kondensowanym mlekiem. Nic innego tu nie moge dostać za żadną cenę.

Podróż moja, aczkolwiek jecha- łem samochodem Czerwonego Krzyża, stawała się coraz uciąż- liwsza, nietylko może spowodu- bardzo złych dróg, ile z racji tych ciągłych trudności, stawianych przez posterunki japońskie. Nie pomagały zapewnienia, że jadę na front na własne ryzyko, że mam przecież pozwolenie od sa- mego regenta — z opresji musiał mnie wydobyc stałe towarzy- szący mi lekarz wojskowy.

Po kilku dniach dotarłem wre- szcie do miejscowości, w której zobaczyłem pierwszych rannych. W jakimś budynku szkolnym ur- ządzono prowizoryczne miejsce opatrunkowe. Sanitarjusze padali tu ze zmęczenia. Ciężko rannych układano na samochody ciężaro- we, ciężko rannych i kontuzjowa- nych, odstawiano do lazaretów polnych w Sut-Szan i Nan-Sing.

Na barlogu słony leży jakiś młody żołnierz chiński, wijący się z bólu. Nie wiem gdzie i jak, — boć przecież walki niby ustały — otrzymał postrzał w głowę. Prosiłem sanitariuszy, aby go zabrali do lazaretu, ale odpowiadają, że nie miałoby to najmniejszego celu, gdyż tak czy tak wyzionie lada chwilę ducha.

Na noszach przyniesiono wła- sie nie jakiegoś rannego oficera.

Więc jakto? Walki ustały, za- wieszenie broni, pokój, — a tu ranni?

Krwawy epizod

Tak jest zawsze teraz. Niema regularnych walk, a jednak są tu i owdzie krwawe starcia bo- daj że indywidualne, są walki na palasze. Od czasu do czasu pa- dają to z jednej, to z drugiej strony strzały, od czasu do cza- su podejmowane są próby po- dejścia wojska japońskiego przez żołnierzy chińskich, przez oficer- ów, członków Chińskiej Ligi pa- triotycznej.

A oto jeden z epizodów, które- go nie zapomnę. Trzech żołnie- rzy japońskich, wracających z

pozycji frontowych prowadzi ja- kiegoś Chińczyka.

— Oto ma pan dowód — za- gaduje mnie jeden z oficerów japońskich. Naopowiadano panu tyle o brawurze chińskiego woj- ska i wpojono w pana przekonanie, że Chińczycy nie pozwolą się brać do niewoli — a tak nie jest.

— Zapewne jakiś ranny — odpowiadam. Zresztą traktujecie Chińczyków tak przyzwicie, że doprawdy nie rozumiem, dlaczego chcecie woleli śmierć, aniżeli nie- wolę.

— Przejeli to od nas — odpo- wiada Japończyk. Zaden z nas nie pozwoli się wziąć do nie- wol.

Prowadzony pod eskortą trzech żołnierzy Chińczyk był oddalony od nas zaledwie o 30 kroków. Chodzenie sprawiało mu widocz- nie wielki trud, gdyż włókł jed- ną nogę tak, jakby była całkiem bezwładna. Przystanął nagle, podniósł dumnie głowę i utkwiał w nas fascynujący wzrok. Zapa- nowała głęboka cisza. Chińczyk zaczął uśmiechać się — oczy sta- wały się coraz większe. — Otwó- rzył usta, jakby chciał przemó- wić, twarz zajaśniała radosnym promieniem. Podszedł jeszcze kil- ka kroków i zaczął szukać pra- wą ręką czegoś w kieszeni sze- rokich swych spodni. Nagle roz- wiera swe małe oczy jeszcze sze- rzziej, śmieje się jakimś wstrzą- sającym chichotem i krzyczy.

Krótki huk — silny prąd po- wietrza, który zwała mnie z nóg, przede mną biały dym prochu. Stało się to wszystko tak rap- townie, że nikt nawet nie wie- dział, co zaszło. Eskortujący Chińczyka żołnierze zostali zabi- ci — kilku Japończyków ran- nych.

Czyżby to ten śmiejący się Chińczyk?

Widać było jeszcze unoszącą się nad nim chmurę — potem ukazały się nogi w kałuży krwi, jakaś ciemność, spływająca z roz- dartej wnętrzości. Część skó- ry i ubrania zwisała się ponad głowę.

Nie mam słów, by opisać wra- żenie, jakiego doznawałem. W milczeniu spoglądałem na ten grozą przejmujący dramat, jaki rozegrał się w naszych oczach. Nerwy drgnęły nietylko wskutek widoku rozbrzyżanego na wszech strony krwi, ile wskutek wido- ku tego poszarpanego ciała. Zro- zumieliśmy, że li tylko jakimś cudem, nie spotkał nas ten sam los, jaki spotkał tego oficera chińskiego, zbyt dumnego, aby pójść w niewolę japońską.

Teraz uwierzył wreszcie i to- warzyszający mi lekarz japoński, że jest na świecie jeszcze jeden naród, który przenosi śmierć ponad niewolę i umiera z u- śmiechem na ustach.

Był to zresztą pierwszy oficer chiński, którego widziałem zbli- ska.

Zdechły kanarek

Zaczęłam błądzić wśród ruin wioski. Przed rozwaloną w gru- zy szkołą ujrzałem nauczyciela, trzymającego w ręku klatkę ze zdechłym kanarkiem. Na prawo i lewo porozrzucane kałamarze, podarte kajety i książki.

Chińczycy rzucili tu bombę, w chwili, gdy odbywały się lek- cje. Około 100 dzieci zostało za- bitych.

Nieco dalej za szkołą spotka- łem jakąś staruszkę, poszukują- cą drzewa na opał. Oświadczyła mi, że za nic na świecie nie opu- ści swej chaty. Całe życie spe- dziła na uciekaniu to przed przy- jacielem, to przed wrogiem. — Teraz ma dosyć tej wędrówki. Starowina uskarżała się na ssa- dów. Przed ucieczką spłądrowali całą miejscowość i rozkradli wszystko.

Świątynia chińska obrócona w gruzy — eksplodujące granaty porozrywały obrazy, posagi, bo- żków, oraz ornamentację. Cała miejscowość wyglądała tak, jakby została nawiedzona klęską trzęsienia ziemi.

Nagle słyszę warkot unoszące- go się nad nami samolotu chiń- skiego, po chwili następuje eks- plozja rzuconej bomby. Zaczyn- am w przerażeniu uciekać, ale zatrzymuje mnie jakiś żołnierz i radzi, abym nigdy nie uciekał przed samolotem, lecz biegi mu naprzeciwko. Bomby nigdy nie padają przy zachowaniu takiej ostrożności, blisko człowieka.

Ileżbym nauczył się na tym froncie, ileż ciekawych opowia- dań nasłuchałbym się, gdybym nie potrzebował posługiwać się stale tłumaczem!...

Jutro ruszam w dalszą drogę. Czy dożyję na tym odcinku — gdzie przecież szereg broni miał już ustać zupełnie?

A. Przy- ski.  
(D. c. n.).

Agitacje hitlerowców w Belgji

BRUKSELA, 30. 8. (PAT.). — Niesłychana aktywność hitlerow- ców w Belgji zaniepokoiła w naj- wyższym stopniu nietylko opinję publiczną, lecz i czynniki rządo- we. Gubernator prowincji leody- skiej był przyjęty przez ministra spraw wewnętrznych w celu na- radzenia się nad groźną sytua- cją, jaka powstała na skutek dzia- łalności hitlerowskiej w kanto- nach, odzyskanych przez Belgję.

Po tej konferencji odbyło się w Verviers zebranie pod przewod- nictwem gubernatora prowincji Pirarda z udziałem burmistrzów i komisarzy prowincji. Na zebra- niu tem stwierdzono ogromny li- beralizm konstytucji belgijskiej, wyzyskany przez agitatorów hi- tlerowskich, którzy prowadzą wywrotową działalność antybel-

Manewry Roosevelta i Jonsohna  
Sprawa złota. — „Kupujcie zaraz“

LONDYN, 30. 8. (PAT.). — Rozporządzenie prezydenta Roo- sevelta, częściowo znoszące do- tychczasowy zakaz sprzedaży i wywozu złota w stosunku do złota świeżo wydobywanego, ogło- szone zostało celem przyjęcia z pomocą amerykańskiej produkcji złota, która wobec embargo nie mogła uzyskiwać cen panujących na wolnych rynkach światowych. Obecne posunięcie umożliwi amerykańskim kopalniom złota, reprezentującym przeszło 10 pro- cent produkcji światowej, sprze- daż unci złota za prawie 30 de- larów. Dotychczas oficjalna cena wynosiła zaledwie 20.67 dol.

W kołach city Londyńskiej uważają, że rozporządzenie po- wyższe zmienia wartość złotego składnika dolara i interpretują je jako zapowiedź oficjalnej de- waluacji waluty amerykańskiej. Odtąd dolar nie będzie już po- siadał zgóry określonej zawarto- ści złota, lecz będzie się ona zmi- niała z dnia na dzień, stosownie do fluktuacji ceny złota na wol- nych rynkach.

Cena na wolnych rynkach bę- dzie więc decydować o cenie, pla- czonej amerykańskim kopalniom

złota przez skarb amerykański. Konsekwencją rozporządzenia, częściowo znoszącego zakaz sprze- daży i wywozu złota świeżo wy- dobywanego, jest drugie rozpo- rządzenie, zwrócone przeciwko tezuraryzacji.

WASZYNGTON, 30. 8. (PAT.). — J. n. Johnson bada obecnie szcze- gółowo plany zakrojonej na oi- brzymią skalę kampanji pod ha- słem: „Kupujcie zaraz“. Przewi- dziane jest m. in. zwrócenie się do konsumentów z apelem do kup- na towarów wartości 2 miljar- dów dolarów. Planu te, jak przy- puszczają, wymagać będą wyda- nia zarządzeń uzupełniających, wśród których znajdzie się infla- cja, chyba, że obecne wysiłki do- konają cuda.

Funkcjonariusze departamentu skarbu stwierdzają, iż ostatnie zarządzenie prezydenta Roose- velta, dotyczące złota, nie stan- cjiw oficjalnej akcji na rzecz zmniejszenia zawartości złota w dolarze, ani otwarcia wolnego rynku, zarządzenie to jedynie przygotowuje dla farmerów i pro- ducentów drogę do osiągnięcia lepszych cen na ich produkty.

Ostry ton Niemiec  
pod adresem Włoch

BERLIN, 30.8. (PAT.). — Pra- sa powraca raz jeszcze w artyku- łach do spotkania Dollfussa z Mussolinim w Riccione, podkre- ślając wzrost na terenie państw naddunajskich wpływów włos- kich, widocznych zwłaszcza w Wiedniu i w Budapeszcie. Niektó- re artykuły mają wybitny charak- ter przestrogi pod adresem Włoch.

„Dzisiejsza „Boersen Zeitung“ w artykule p. t. „Epilog w Riccione — polityka Włoch w basenie na- dunajskim“ pisze m. in.:

„Wszyscy muszą sobie przede- wszystkim zdać sprawę przy two-

zeniu jakichkolwiek planów w basenie naddunajskim, że skazane są one zgóry na załamanie się, do póki trwać będzie konflikt niemiec- ko - austriacki i dopóki Rzesza nie bierze w nich udziału. Skutki jakiegokolwiek rozwiązania, prze- prowadzonego bez Niemiec, są ja- sne: Włochy musiałyby zrezyg- nować z przyjaźni z Niemcami i pakt czterech uległby rozbiciu“.

Następują dalej groźby pod a- dresem Węgier, Rumunji i Jugo- sławji i przestroga pod adresem Mussoliniego, że zarówno Tar- dieu, jak i Benes, rzekomo prze- konali się o bezsensowności wy- kluczenia Niemiec z planów na- dunajskich.

Zamknięcie  
Polskiego pisma

KRÓLEWIEC, 30. 8. (PAT.). — Prezydent rejencji olsztyńskiej rozporządzeniem z dnia 28 b. m. zarządził zamknięcie na okres trzymiesięczny pisma polskiego p. t. „Maur“, wychodzącego dwa razy tygodniowo w Szczytnie. Wydawcy pisma zabroniono ogło- sić motywy zawieszenia gazety, a pozwolono jedynie podać do wiadomości sam fakt.

Wypadek Goeringa

BERLIN, 30. 8. (PAT.). — Dziś dopiero Biuro Wolffa ogłosiło wiadomość, że podczas przelotu premiera Goeringa w dniu 33 b. m. z Monachium do Berlina, pio- run uderzył w samolot, niszcząc radiostację samolotu, który do- stał się pod lasem turyngijskim w strefę burzy śnieżnej.

Pomimo wypadku lotnik kpt. Huckle zdołał szczęśliwie dopro- wadzić maszynę na lotnisko w Tempelhofie. Premier Goering wystosował do lotnika specjalne pismo z wyrazami uznania.

Wojska sowieckie  
na Syberji

TOKIO, 30. 8. (PAT.). — Ajencja Reutersa donosi, że według wiado- mości, jakie ukazały się w prasie tutejszej, pochodzących ze źródeł miarodajnych, zbrojne siły so- wieckie w Syberji wschodniej wy- noszą w danej chwili więcej niż połowę całej armji japońskiej. So- wiecka eskadra powietrzna liczy 300 samolotów, wśród których ciężkie samoloty bombowe stano- wią poważną liczbę.

Według ogólnego mniemania koncentracja sowieckich sił zbroj- nych ma charakter defenzywny, niemniej jednak niepokoi ona To- kio.

Kościół spłonął  
w Barcelonie

PARYŻ, 30. 8. (PAT.). — Hayas donosi z Barcelony, że pożar zniszczył doszczętnie kościół Mat- ki Boskiej Cudownej. Ocalały jedynie archiwa i zakrystja. Przy- czyną pożaru jest nieznana.

Sigrida Boo

Nawet w dzisiejszych czasach

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Przekład Anieli Waldenbergowej

Nagle poczułam, że już nie wiem o czem mam z nim mówić. Ale po półgodzinnej znajomości nie sposób pomyśleć nawet, że się już wyczerpało wszystkie tematy. Postarałam się więc skierować rozmowę na bezwzględnie pewne tezy i zapytałam: Ile pan ma krów? Wideo- nie nie spodziewałam się usłyszeć tak prostego pytania. Wzrok jego stał się tchórzliwy. Ale jednak odpowiedział: — No, tak kolo pięćdziesięciu krów i jednego by- ka — i siedem kóz — ośm cielaków.

Wydawało mi się początkowo, że skierowanie roz- mowy na temat jego gospodarstwa wiejskiego nie bę- dzie łatwe. Ale niebawem gawędził mi o życiu na wsi. Prawdziwie rozmowny stał się dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy mówić o urządzeniach stajni. Usłysza- łam dokładny opis przeróżnych praktycznych urządzeń stajennych. I oczywiście towarzyszył mi wyciągnięty ołów- ek z kieszeni, żeby zrobić kilka szkiców. Doprawdy mam dziwne szczęście, że nigdy nie spotykam mężczy- zny, któryby wcześniej, czy później nie wyciągnął ołow- ka z lewej kieszeni kamizelki, ażeby szcikaćmi zilustro- wać swe słowa. Zazwyczaj na odwrotnej stronie zmie- tej kartki, wyjętej z pugilaresu. Dla mnie zawsze w tem jest coś tak bardzo młodzieńczego, że mnie to wrusza. I niechby to było jaknajbardziej nudne, pozwalam mu spokojnie rysować, od czasu do czasu rzucając tylko słowo zachęty.

Pugilares Piotra Björn'a był zresztą taksamo cien-

13)

ki i zniszczony, jak ten, który ojciec mój ze stałą pen- sją miesięczną zwykł był wyciągać z kieszeni. Dziwnym zbiegiem okoliczności Björn miał wtedy również iden- tycznie taki sam wyraz twarzy, jak mój ojciec, ale na szczęście, jak tylko pugilares wrócił na swe miejsce, wyraz ten się zmienił.

Cała różnica pomiędzy nimi dwoma polegała na tem, że u Björn'a nie można się było doszukać przyczyny. A może Björn jest skąpy?

No — narazie nie potrzebuję się o to martwić. Bez wątplenia jest bardzo rozmowny i interesujący. Opo- wiadał o pogawędkach wieczornych przy blasku ko- minka, o pieczeniu wieprzowej i o świeżo ugotowanych kartofelkach, podanych na dębowym, składanym stole kuchennym. O deszczowych wieczorach letnich, kiedy pstrągi, jak oszalałe idą na wędkę i o uczuciu, jakie się ma, wychodząc przed dom, do ogrodu w świeży, jasny poranek letni. Miał szczególną zdolność opowiadania wszystkiego niezmiernie zajmująco i byłabym skłonna opowiadanie to uważać za improwizację poety - wieśniaka, gdybym go nie była słyszała z ust fachowego ro- lnika.

Gdy opuszczaliśmy restaurację, deszcz przestał pa- dać. Niebo odbijało się w mokrym asfalcie, tak, że wy- glądało jak niebieski lód i powietrze miało świeży smak słonej wody. Zgodziliśmy się, że przejadka w porcie i do Akerhus musi mieć dla wieśniaka szczególny urok. Z dziwną mieszaniną uczuć stwierdziłam, że on- ma w dwójnasób więcej wiadomości o Akerhus i mo- rzu, niż ja.

Kiedyś mijali postój wartę koło twierdzy, odra- zu zaczął mówić o swej służbie wojskowej, podobnie jak to zwykły czynić wszyscy inni mężczyźni. Zetknął się z zagadnieniem munduru w towarzystwie mężczy- zny jest niebezpieczne.

W dziesięciu, jeżeli nie w stu wypadkach przypomni

sobie zawsze okres swej służby wojskowej, a potem do- piero się zaczyna. Znamienne chrząknięcie jest wstęp- em do opowiadania o oficerach, o jedzeniu, o mar- szach, barakach i peltach, o odwiecznych pluskach; im prędzej słuchacz się poddał, tem lepiej dla opowia- dającego. Piotr Björn należał zresztą do umiarkowa- nych — każdemu trzeba oddać sprawiedliwość. Osta- tecznie po siódmej historii zapytał, czy mnie to nie męczy.

I przez cały wieczór ani razu nie wspomniał nawet o „dzisiejszych czasach“.

— To szalenie dziwne w „dzisiejszych czasach“, — powiedziałam, kiedyśmy się roztawali przed memi drzwiami. — Pójdę teraz na górę i zrobię krzyżyk w moim kalendarzu.

Ale nie miałam szczęścia z tą uwagą. Wyraz przy- gnębienia odmalował się w jego oczach. Przez chwilę wyglądał tak, jakgdyby cały kryzys światowy nosił na swych barkach. Jednakże, chwala Bogu, atak ten prze- szedł bardzo prędko, uśmiechnął się i oznajmił, że on również zrobi w kalendarzu krzyżyk, lecz z zupełnie in- nej przyczyny.

Uśmiechnęłam się, zmieszana i zaczęłam mówić o pogodzie. Na odległość jestem zawsze bardzo odważna, ale w bliskości, niestety, wielce tchórzliwa.

V.

Nazajutrz był zimny, jasny dzień. Postanowiliśmy z Björn'em pojechać na krótką wycieczkę w góry.

Randi jeszcze nawpół drzemała, gdy poprosiłam ją pokornie o pożyczenie mi swego brązowego jumpera. Z obawy przed odmową nie zaczęłam z tem pytaniem do chwili, aż się zupełnie rozbudzi. Tylko uśmiechnęła się lekko i odwróciła do ściany. Przyjęłam ten uśmiech za wyrażenie zgody.

(D. c. n.).